

Kulturalni barbarzyńcy

18 marca 2013

Kilka dni temu redaktorka „Le Monde diplomatique” opowiedziała niżej podpisanemu historię pewnej syryjskiej emigrantki z klas wyższych, która oglądając telewizyjne relacje z ogarniętego walkami Aleppo w swoim londyńskim mieszkaniu roniła łzy nad niszczonymi zabytkami, nie przejmując się zbytnio losem ludzi. Historia ta doskonale opisuje typ wrażliwości, sposób myślenia i hierarchię wartości pewnego, znaczącego nurtu opinii publicznej tzw. cywilizowanego świata.

Wbrew utyskiwaniom pesymistów narzekających, że w naszych do cna skomercjalizowanych czasach kultura wysoka przestała się liczyć, dostajemy wciąż wiele dowodów, że wcale tak nie jest. Doceniają ją nie tylko nieliczne jednostki opierające się jeszcze zalewowi taniej telewizyjnej rozrywki i urokom portali społecznościowych. Okazuje się, że walory sztuki i architektury bardzo obchodzą polityków, media, a wręcz całe państwa. W imieniu kultury wszczyna się nawet wojny. Najnowsze przykłady dostarcza nam francuska interwencja w Mali. Argumenty przywoływane na jej usprawiedliwienie z grubsza dzieliły się na mocno naciągane („Francuzi bronią demokracji” – podczas gdy w Mali od zamachu stanu dokonanego w marcu ub. roku u władzy panuje najzwyklejsza dyktatura wojskowa kapitana Sanogo), absurdałne („Secesjoniści tuarescy i islamiści z Azawadu zagrażają Europie” – podczas gdy wiadomo, że to ruchy lokalne o lokalnych celach i możliwościach) i te nawołujące do obrony zagrożonych dóbr kultury.

Bodaj największym grzechem dżihadystów, opisywanym wielokrotnie i z nieukrywaną odrazą przez media, było niszczenie mauzoleów sufickich oraz historycznych rękopisów zgromadzonych w Timbuktu, które właśnie wpisano na listę dziedzictwa światowego UNESCO. Można było odnieść wrażenie, że w niektórych relacjach przejawy ikonoklastycznego

barbarzyństwa zepchnęły na plan dalszy nawet potwierdzone przypadki brutalnej dyskryminacji kobiet, kamienowania cudzołożników i obcinania rąk osobom oskarżonym o kradzież. Być może uznano, że nie warto drażnić sojuszników Francji z krajów, gdzie spotkać można praktyki tylko nieco łagodniejsze? Jakkolwiek by było trudno nie zauważyć, że zachodnia opinia publiczna wykazuje szczególne uwrażliwienie na los dzieł sztuki i zabytków. W kontekście argumentów za interwencją w Mali trudno też uniknąć skojarzenia z podobnym dyskursem towarzyszącym propagandzie wojennej poprzedzającej inwazję na Afganistan w 2001 r. Wtedy oburzało nas zniszczenie przez talibów wielkich pomników Buddy w Bamjanie. Co ciekawe, także i wówczas armia amerykańska miała wyzwolić afgańskie kobiety czemu przyklasnęły liczne zafiksowane na kodzie odzieżowym zachodnie feministki, nie raczące dostrzec wartości, jaką dla kobiet afgańskich może mieć coś takiego jak pokój (dający np. wolność od strachu przed gwałtami, które były specjalnością sojuszników USA w walce z talibami). Tradycja zachodnich „wojen o zabytki” jest oczywiście dłuższa – pewnie tak długa jak potrzeba kreowania naszych wrogów i ofiar na barbarzyńców, istoty niecywilizowane, które nie dostąpiły jeszcze pełni człowieczeństwa, i dlatego strzelanie do nich nie jest pierwszorzędnym problemem moralnym.

Oczywiście gniew cywilizowanego człowieka oburzonego ekscesami barbarzyńców ma swoje granice. Nie dotyczy pożaru wzniesionego przez francuskie rakiety, w którym prawdopodobnie spłonęła część rękopisów z Timbaktu. Nie obejmuje także rozdrapania zbiorów Muzeum Narodowego w Bagdadzie, które padło ofiarą rabusiów w chwili, gdy 10 lat temu wojska Amerykańskie zajęły miasto i patrolowały teren wokół muzeum dosłownie nadzorując grabież. Podobnie nie oburzało nas zbytnio niszczenie średniowiecznych serbskich klasztorów w Kosowie, które dokonało się pod kuratelą NATO i międzynarodowych sił policyjnych, ani rozjeżdżanie gąsienicami resztek starożytnego Babilonu przez polskie i brytyjskie siły okupacyjne w Iraku. Najwidoczniej zabytek zabytkowi nierówny, zupełnie jak

nierówno Zachód rozdaje narodom uprawnienia do korzystania z dobrodziejstw praw człowieka i zasad demokracji.

Aby zrozumieć tę pozorną niekonsekwencję nie trzeba jednak wielkiego wysiłku analitycznego. Koncentracja uwagi na niszczonych zabytkach to zaledwie instrument, poręczne narzędzie. Używa się go nie tylko do piętnowania naszych wrogów mianem barbarzyńców, ale nade wszystko do zdejmowania owego piętna z nas samych. W gruncie rzeczy najlepiej opisuje to postawa owej syryjskiej damy – nasza miłość do zabytków jest koniecznym awersem pogardy dla ludzi. Jest konsekwencją potrzeby zracjonalizowania i usprawiedliwienia pogardy, która przecież stanowi najwyższą manifestację barbarzyństwa. Dlatego z taką konsekwencją oddajemy się miłości do zabytków akurat wtedy, gdy sposobimy się do wojny. Barbarzyństwo ikonoklastów ma przesłonić barbarzyństwo wojny i towarzyszących jej tortur. Ale właśnie ten zabieg najmocniej oskarża tzw. obrońców zachodnich wartości. Jest coś przerażającego w samym położeniu na szali życia ludzkiego i ornamentów na fasadzie jakiejś pięknej kamienicy.

Dlatego całkiem zasadnie można postawić pytanie czy prawdziwymi barbarzyńcami nie są dziś miłośnicy buddyjskich posągów, sufickich mauzoleów i syryjska dama opłakująca zabytki Aleppo?

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)